

Wahania Żeligniewa tuż-tuż przed dyktandem

Żeligniew, ponaddwudziestoipółletni szczecinianin, słuchając IX symfonii Beethovena i popijając cappuccino w wygodnej berżerze, przypomniał sobie, że i w tym roku jest okazja, aby stanąć w szranki zarówno z mistrzami, jak i z niby-znawcami polszczyzny z całego województwa zachodniopomorskiego. Przypuszczał, że uczestnicy zjadą ze wszystkich stron: od Roztoki Odrzańskiej do rzeki Gwdy, od Morza Bałtyckiego do Jeziora Barlineckiego.

Żeligniew, miłośnik jumpingu i hula-hoop, wiedział, że szczecińskie dyktando to stretching i fitness dla umysłu. Wiedział też jednak, że samo zamieszkiwanie w północno-zachodniej Polsce nie czyni z niego par excellence mistrza ortografii. Poszedł więc do Książnicy Pomorskiej, by przejrzeć jej archiwalne zbiory. Ale gdy zanurzył się do niepamięci w lekko szerniałe woluminy, naszyły go wątpliwości: „Na cóżże nad nimi ślęczę, może lepiej zrezygnować z rywalizacji, skończyły się śmichy-chichy”.

Pół żywy, pół martwy ze zmęczenia zauważył, że ni stąd, ni zowąd pojawiła się Marzena, quasi-patronka ubiegłorocznego konkursu, która rzekła: „Niepodobna by było nie wziąć w nim udziału, byłby to dyshonor, kawalerze. Być może nagroda na ekstrakadillaca nie wystarczy, ale jeśli podejmiesz wyzwanie, to pospołu niezadługo zgłębimy topografię Szczecina”. Żeligniew zdał sobie sprawę, że znikądinąd by nie otrzymał takiej szansy na poznanie miejscowych nazw. Wyobraził sobie, że zrywa się w okamgnieniu znad ksiąg i pędzi z Marzeną w stronę wyspy Przymoście, ogląda plac Nauczycieli Tajnego Nauczania, biegnie przez rondo Giedroycia i zatrzymuje się na ulicy Przy Ogrodach. „Hola! – zawołała Marzena – wiem, że chciałbyś zwiedzić ze mną nawet nienisko położone Wzniesienia Szczecińskie, a być może całą Dolinę Dolnej Odry. Najpierw jednak raz-dwa napisz bezbłędnie nie najłatwiejsze dyktando”.